

SIEJMY

E-MAGAZYN KATOLICKI
ISSN 2719-3764

NR 5/2025 (54)
SIERPIEŃ-WRZESIEŃ A.D. 2025

A full-page background image of a mountain landscape. In the foreground, a person with a backpack is walking away from the viewer on a dirt path that leads up a grassy, brownish mountain slope. In the background, a large, rugged mountain peak rises, partially shrouded in white mist or clouds. The sky is blue with scattered white clouds. The overall mood is one of solitude and a journey towards a higher goal.

powołanie



E-MAGAZYN KATOLICKI

Wydawca

Piotr Ziemecki

Redakcja

Adam Budziński

Monika Piosik

Agnieszka Wardak

Dominika Wrzałko

Piotr Ziemecki

Miłosz Żemła

Korekta

Piotr Ziemecki

Miłosz Żemła

Kontakt

siejmy.pl@gmail.com

ISSN 2719-3764

siejmy.pl



PIOTR ZIEMECKI

Powołanie to kwestia, nad którą chyba każdy przynajmniej raz w życiu poważnie się zastanawiał. Jak jednak je odkryć i właściwie realizować? Czy Pan Bóg przygotował dla nas jedną i niezmienną ścieżkę życia? Czy powołanie jest czymś, co zmienia się w zależności od naszych talentów, umiejętności, ale i słabości i okoliczności, z którymi żyjemy? Jak obrać właściwą ścieżkę naszego ziemskiego życia i jak odważnie podejść do tego wyboru?

Na powyższe pytania staramy się odpowiedzieć w tym numerze naszego e-magazynu. Mamy nadzieję, że zawarte tu treści pomogą w lepszym spojrzeniu na swoje powołanie i wszystko to, co się z nim wiąże.

Całą Redakcją życzymy owocnej lektury sierpniowo-wrzesniowego numeru SIEJMY!

W TYM NUMERZE

Lepsze i gorsze powołania

DOMINIKA WRZAŁKO

Powołanie kobiety

MONIKA PIOSIK

Przepis na świętość

AGNIESZKA WARDAK

Obowiązek wyboru powołania

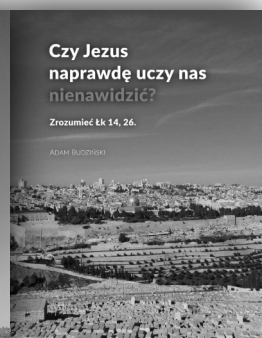
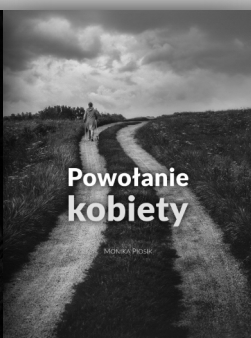
PIOTR ZIEMECKI

Papież był dzieckiem,
to i dziecko może zostać papieżem

MIŁOSZ ŻEMŁA

Czy Jezus naprawdę uczy nas nienawidzić?
Zrozumieć Łk 14, 26.

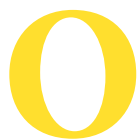
ADAM BUDZIŃSKI



A full-page background image showing a person standing in a narrow, dark rock crevice. The person is silhouetted against a bright, glowing light source, likely the sun, which is visible through the opening of the crevice. The person's arms are raised in a gesture of triumph or awe. The rock walls are textured and reddish-brown. The overall mood is one of hope, achievement, and looking towards a bright future.

Lepsze i gorsze powołania

DOMINIKA WRZAŁKO



odkrywanie swojego powołania to obowiązek każdego z nas. Młody człowiek nieustannie przekonuje się, jak trudne to zadanie. Wymaga głębokiego wejrzenia w swoje wnętrze i znalezienia drogi, która połączy nasze talenty, pasje, temperament i uzdolnienia. Jest to jeszcze trudniejsze w dzisiejszym świecie, który oferuje pozornie nieograniczone możliwości wyboru. Wielu osobom wkraczającym w dorosłość o wiele trudniej jest zdecydować się na jedną ścieżkę życiową. Co gorsza, świat przekonuje nas, że niektóre wybory, niegdyś oczywiste dla większości ludzi, jak małżeństwo czy kapłaństwo, wiążą się z nadmiernym trudem i ograniczeniami. Czy jednak istnieją powołania lepsze i bardziej wartościowe, które chrześcijanin powinien stawiać na pierwszym miejscu oraz te mniej obiecujące, które świadczą, że coś jest z nami nie tak?

Uwiodłeś mnie, Panie

Powołanie rozumiemy zazwyczaj jako Boże wezwanie do konkretnego sposobu życia i służby. Zawsze towarzyszy mu jednak odpowiedź człowieka, który może takie powołanie przyjąć albo odrzucić.

Uwiodłeś mnie, Panie, a ja pozwoliłem się uwieść; ujarzmiłeś mnie i przemogłeś. Stałem się codziennym pośmiewiskiem, wszyscy mi urągają (Jr 20,7).

Klasycznie rzecz ujmując, możliwe są trzy drogi: życie małżeńskie i rodzinne, życie poświęcone Bogu oraz życie samotne. Oprócz nich, każdy człowiek może realizować powołanie do konkretnego zawodu czy służby. Wybór drogi związanej z życiem zawodowym zależy od charakteru, osobowości, temperamentu oraz indywidualnych talentów i uzdolnień jednostki. Tego rodzaju powołanie można realizować niejako równolegle do głównej drogi życiowej, dążąc do realizacji pełni swojego potencjału. Można być mężem i policjantem, matką spełniającą się jako księgowa, albo zakonnicą pracującą jako dyrektorka domu dziecka. Poza powołaniem do kapłaństwa czy małżeństwa, istnieją wartości, do których powołany jest każdy człowiek, niezależnie od tego, jaką drogę życiową ostatecznie wybierze. Każdy człowiek jest

wezwany do życia, do miłości i do szczęścia z Bogiem. Te powołania powinny być głównymi wytycznymi naszego życia, niezależnie od tego, jaką drogą zdecydujemy się pójść oraz jaki zawód będziemy wykonywać.

Bóg, który stworzył człowieka z miłości, powołał go także do miłości, która jest podstawowym i wrodzonym powołaniem każdej osoby ludzkiej. Człowiek został bowiem stworzony na obraz i podobieństwo Boga, który sam „jest miłością (1 J 4, 8. 16). Ponieważ Bóg stworzył mężczyznę i kobietę, ich wzajemna miłość staje się obrazem absolutnej i niezniszczalnej miłości, jaką Bóg miłuje człowieka. Jest ona dobra, co więcej bardzo dobra, w oczach Stwórcy. Miłość małżeńska, którą Bóg błogosławi, jest przeznaczona do tego, by była płodna i urzeczywistniła się we wspólnym dziele zachowywania stworzenia: „Bóg im błogosławił, mówiąc do nich: <<Bądźcie płodni i rozmnażajcie się, abyście zaludnili ziemię i uczynili ją sobie poddaną>>” (Rdz 1, 28)¹.

Lepsze i gorsze powołania?

Niektórzy mogą uznać, że służba Bogu najpełniej zrealizować się może w powołaniu zakonnym czy kapłańskim. W kontekście wiary, powołanie kapłańskie jest postrzegane jako szczególnie dar

Bożej miłości i tajemnica, wymagająca od odpowiadającej na nie osoby poświęcenia życia i służby innym. Kapłaństwo może być rozumiane jako tak wyjątkowy wymiar powołania, dlatego że jest darem od Boga, który nikt nie może sobie przypisać, a jednocześnie jest tajemnicą, gdyż nie zawsze można w pełni wytłumaczyć, jak się je odkryło. Z drugiej jednak strony współcześnie często postrzega się tego rodzaju powołanie jako ucieczkę od prawdziwego życia. W świecie, w którym każdy ma nieograniczone możliwości, poświęcenie się służbie Bogu i dobrowolne zrezygnowanie ze swobody, wielu przyjemności oraz ze stworzenia związku z płcią przeciwną nie jest zrozumiałe. Taka postawa dla większości osób niezwiązanych z Kościołem oznacza raczej zmarnowanie sobie życia, a nie wspaniałą drogę życiową.

Z drugiej strony wiele młodych osób wyznających katolickie wartości, zwłaszcza kobiet, marzy o małżeństwie. Ich pragnienie pobudza często chociażby widok katolickich influencerów, którzy pokazują w internecie swoje idealne rodziny i prezentują tę drogę jako szczęśliwą i nawet jeśli nie wolną od problemów, to dającą wielkie spełnienie. Istnieje też grono tradycyjnych żon, które przekonują młode kobiety, że te najlepiej mogą wypełnić swoją

życiową misję realizując się jako żony i matki. Przykład tego rodzaju postaw wprawia wiele młodych kobiet w zagubienie. Z jednej strony są niewątpliwie ambitne i mają wiele zainteresowań, a z drugiej strony chciałyby dobrze realizować swoje powołanie. Obawiają się, czy uda im się połączyć bycie dobrymi matkami i żonami i realizację swoich pasji oraz wykonywanie obowiązków zawodowych. A jednak łączenie różnych sfer życiowych w dzisiejszych czasach nie powinno już być problemem, istnieje bowiem wiele przykładów małżeństw, w których obie strony realizują swoje kariery z sukcesem. Nawet wiele tradycyjnych żon, które w Internecie pokazują tylko sferę związaną z wychowaniem dzieci, w rzeczywistości prowadzi swoje biznesy, posiada własne marki, tworzy rękodzieło, albo prowadzi z sukcesem konta na Instagramie.

Kolejnym krokiem dla osób, które zawarły z sukcesem małżeństwo, jest posiadanie dzieci. Co jednak z tymi małżonkami, którzy pomimo starań nie mogą mieć potomstwa? Jeszcze przed Soborem Watykańskim II głównym celem małżeństwa było właśnie posiadanie dzieci. Zgodnie z *Kodeksem Prawa Kanonicznego* z 1917: „*Celem głównym małżeństwa jest rodzenie i wychowanie potomstwa, drugim celem jest wzajemna pomoc*”. Po Soborze na pierwszym miejscu

wysunięto aspekt związany ze wspólnotą małżonków, stawiając potomstwo dopiero na drugim miejscu. Zgodnie z nowym Kodeksem Prawa Kanonicznego: „*Małżeńskie przymierze, przez które mężczyzna i kobieta tworzą ze sobą wspólnotę całego życia, skierowaną ze swej natury do dobra małżonków oraz do zrodzenia i wychowania potomstwa, zostało między ochrzczonymi podniesione przez Chrystusa Pana do godności sakramentu*”. Ta niewielka zmiana polegająca na zamianie miejscami dwóch wartości wielu osób przywiązanych do przedsoborowej nauki Kościoła wzbudza duży niepokój.

Zaniepokojeni tą zmianą argumentują, że w przypadku postawienia posiadania potomstwa na pierwszym miejscu, związek małżeński jest zorientowany na trzecią osobę, na dziecko. Miłość nie może być skupiona tylko na dwóch osobach małżeństwa, ale na czymś zewnętrznym wobec nich. Dziecko staje się urzeczywistnieniem miłości męża i żony, a wszelkie trudy i wyrzeczenia związane z wychowaniem dzieci sprawiają, że relacja między małżonkami staje się coraz pełniejsza. W sytuacji, kiedy posiadanie potomstwa jest dopiero drugorzędnym celem, dziecko staje się jedynie miłym dodatkiem, nagrodą. Poza tym, jeśli pierwszorzędnym celem małżeństwa jest potomstwo,

to wszystkie czynności męża i żony bezpośrednio lub pośrednio mają w perspektywie ojcostwo i macierzyństwo, czyli założenie i rozwijanie rodziny. Natomiast jeśli głównym dobrem małżeństwa jest wzajemna miłość, to większość czynności męża i żony będzie skierowanych na wygodne ułożenie sobie wspólnego życia.

Po Soborze Watykańskim II Kościół kładzie nacisk na odpowiedzialne rodzicielstwo, czyli świadome i rozważne podejmowanie decyzji o liczbie dzieci, z zachowaniem zasad moralnych. Małżeństwo ma być miejscem miłości, wierności i wzajemnego wsparcia. W wydanej w 1968 roku encyklice *Humanae Vitae* papież dopuszcza naturalne metody planowania rodziny (np. obserwacja cyklu kobiety), o ile są stosowane z ważnych powodów i z poszanowaniem moralności chrześcijańskiej.

Nie można więc powiedzieć, że małżeństwo, które nie ma dzieci, gorzej realizuje cele swojego stanu. Istotny może być powód, dla którego dana para nie ma dzieci. Oczywiście nie można nikogo potępiać za to, że nie ma dzieci dlatego, że nie pozwala mu na to zdrowie, albo zмага się z bezpłodnością. Warto jednak zastanowić się, co w sytuacji, kiedy dane małżeństwo nie chce mieć dzieci z innego powodu. Bardzo często

stoi za tymi powodami strach, dotyczący tego, czy damy sobie radę z kolejnym dzieckiem albo czy nasza sytuacja finansowa za bardzo się nie pogorszy. Takie powody mogą być sygnałem, że jesteśmy zbyt bardzo przywiązani do kwestii materialnych. Tymczasem człowiek ufający Bogu nigdy nie powinien mieć tego rodzaju wątpliwości.

Powołanie do samotności

Co jednak z wszystkimi osobami, których marzenia się nie spełnią i które, chociażby bardzo się starały, nie znajdą współmałżonka? Czy takie osoby mają prawo myśleć, że coś jest z nimi nie tak? Wiele osób samotnych nie z własnej woli kusi taki sposób myślenia. Zastanawiają się, czy brakuje im atrakcyjności fizycznej, czy może są za mało towarzyskie i otwarte na innych ludzi. A jednak sam Jezus mówił, że istnieją osoby niezdolne do małżeństwa od urodzenia, osoby, które w toku swojego życia stały się do niego niezdolne i osoby, które taki los wybrały na chwałę Boga:

Rzekli Mu uczniowie: «Jeśli tak ma się sprawa człowieka z żoną, to nie warto się żenić». Lecz On im odpowiedział: «Nie wszyscy to pojmują, lecz tylko ci, którym to jest dane. Bo są niezdolni do małżeństwa, którzy z łona matki

takimi się urodzili; i są niezdolni do małżeństwa, których ludzie takimi uczynili; a są i tacy beżżenni, którzy dla królestwa niebieskiego sami zostali beżżenni. Kto może pojąć, niech pojmuje!» (Mt 19, 10-12).

Istnieją ludzie niezdolni do małżeństwa ze względu na wrodzone choroby czy niepełnosprawność. Nie znaczy to oczywiście, że mają one zerowe szanse na znalezienie życiowego partnera, może to być w ich przypadku po prostu bardzo trudne. Niektórzy z kolei zostali w swoim życiu tak skrzywdzeni albo nabawili się tak poważnych zaburzeń psychicznych, że nie potrafią wejść w zdrową i dojrzałą relację z drugim człowiekiem. Zawsze jednak istnieje dla nich nadzieja, mogą pracować nad sobą albo uzyskać profesjonalną pomoc. Są też osoby, które na drodze modlitwy i rozeznania świadomie zdecydowały się na samotne życie.

Samotność bywa też po prostu konsekwencją życia w nieidealnym świecie, w którym nie każdy może spełnić swoje marzenia. Trudności w zawarciu związku małżeńskiego mogą też wynikać ze zmian społecznych, które nastąpiły w ciągu ostatnich dziesięcioleci i które sprawiają, że ludzie szukają partnerów coraz później, a związki są coraz mniej trwałe. Nie pomaga również fakt, że we współczesnym

świecie promuje się konsumpcyjny styl życia, w którym wygoda, swoboda i natychmiastowe spełnianie każdej zachcianki jawią się jako najważniejsza wartość. Wiele osób zdaje się myśleć, że zobowiązanie do pozostawania z drugim człowiekiem do śmierci to zbyt duże ograniczenie, dlatego odkładają myśl o małżeństwie na coraz później.

Warto pamiętać też, że małżeństwo nie jest celem samym w sobie, ale jedną z możliwych dróg do Boga. Została ona wymyślona po to, żeby małżonkowie wspierali i umacniali siebie nawzajem na swojej drodze do świętości. Małżeństwo nie jest więc koniecznym wyborem dla osób, które nie zostały powołane do kapłaństwa ani zakonu, ale pewnego rodzaju ułatwieniem dla osób, którym trudniej byłoby iść przez życie w pojedynkę. W bardziej kontrowersyjnej wersji tego poglądu, którą wyraził na przykład święty Paweł, małżeństwo powstało dla ludzi słabych, którzy w pojedynkę zbyt łatwo daliby się ponieść swojej pożądliwości:

Co do spraw, o których pisaliście, to dobrze jest człowiekowi nie łączyć się z kobietą. Ze względu jednak na niebezpieczeństwo rozpusty niech każdy ma swoją żonę, a każda swojego męża. Mąż niech oddaje

powinność żonie, podobnie też żona mężowi. Żona nie rozporządza własnym ciałem, lecz jej mąż; podobnie też i mąż nie rozporządza własnym ciałem, ale żona. Nie unikajcie jedno drugiego, chyba że na pewien czas, za obopólną zgodą, by oddać się modlitwie; potem znów wróćcie do siebie, aby - wskutek niewstrzeżliwości waszej - nie kusił was szatan. To, co mówię, pochodzi z wyrozumiałości, a nie z nakazu (1 Kor 7, 1-6).

Samotność, niezależnie od tego, czy tymczasowa, czy stała, może być pewnego rodzaju darem. Ten stan przypomina nam, że tylko Bóg zaspokoi nasze najgłębsze pragnienia i wypełni pustkę w naszym życiu, której nie jest w stanie wypełnić żaden człowiek. Nawet osoby, które myślą o małżeństwie w przyszłości, mogą wykorzystać okres bycia tzw. singlem do pogłębiania swojej relacji z Bogiem, pracy nad sobą, czy skupieniem się nad rozwijaniem swoich talentów i pasji. Ważne jest też, żeby nie traktować samotności jako porażki, ale żeby w każdej sytuacji realizować swoje główne powołanie – powołanie do miłości, która może przejawiać się wobec bliskich, przyjaciół oraz dzieci, naszego rodzeństwa i znajomych. Człowiek jest powołany do życia w społeczeństwie. Dlatego niezależnie od tego, czy żyje w małżeństwie, czy jest sam, nie powinien izolować się od innych ludzi. Nawet tak radykalne

powołania jak pustelnicze nie jest zaproszeniem do izolacji, ale do jeszcze bliższej i radykalniejszej więzi z Bogiem i duchowej komunii z całą wspólnotą Kościoła. Ważne jest, aby szukać sensu w tym co robimy, mieć satysfakcjonujące życie zawodowe i starać się również poprzez to służyć ludziom.



Warto pamiętać, że nie ma bardziej i mniej wartościowych powołań. Każde z nich jest łaską i darem Boga, który trudno jest wytłumaczyć. Niezależnie od wyboru drogi życiowej, każdy człowiek jest powołany do miłości i dążenia do szczęścia z Bogiem. Jesteśmy stworzeni na obraz i podobieństwo Boga, więc każdy z nas powinien żyć tak, żeby to podobieństwo do Boga się urzeczywistniało w nas i było widoczne dla innych ludzi.

Powołaniem rodzaju ludzkiego jest ukazywanie obrazu Boga i przekształcanie się na obraz Jedyne Syna Ojca. Powołanie to przyjmuje formę osobistą, ponieważ każdy jest wezwany do Boskiego szczęścia: dotyczy ono także całej wspólnoty ludzkiej².

Rozważając wybór drogi życiowej, jak i kolejne kroki na tej drodze, zawsze warto zastanawiać się nad naszymi motywacjami. Wybór życia w samotności może tak naprawdę płynąć ze strachu przed małżeństwem, odpowiedzialnością, rodzicielstwem albo ze zbyt małego poczucia wartości, które każe nam myśleć, że nie zasługujemy na miłość. Samotność nigdy nie może być ucieczką, ale powinna służyć całemu światu. Tym, co może pomóc nam podjąć decyzję dotyczącą naszego powołania, jest odpowiedź na pytanie: czy to jak żyję, prowadzi mnie do miłości, do daru z siebie, czy prowadzi mnie do coraz większej izolacji od innych i zamknięcia w sobie? Powołanie jest drogą ku coraz większemu szczęściu i spełnieniu, dlatego jego realizacja nigdy nie powinna prowadzić ku frustracji i zamknięciu się na drugiego człowieka.

Przypisy:

[1] Katechizm Kościoła katolickiego nr 1604;

[2] Katechizm Kościoła katolickiego nr 1877.

A person wearing a yellow coat and blue jeans is walking away from the camera on a gravel path that winds through a field of tall green grass. The person is using two white trekking poles. The sky is filled with large, dark, dramatic clouds. The overall mood is contemplative and adventurous.

Powołanie kobiety

MONIKA PIOSIK

Pytanie o to, jakie jest moje powołanie, jest w pewnym sensie pytaniem o tożsamość, o to kim tak naprawdę jestem. Czy, jako kobieta, patrzysz czasem na siebie tymi właśnie, kobiecymi oczami?

Co to znaczy być kobietą? Do czego, jako kobieta, zastałam powołana? Współcześnie te pytania są bardzo ważne i aktualne. Chociaż wydaje mi się, że nieczęsto je zadajemy. Poza tym, rozglądając się wokół, obserwując rodzinę, przyjaciół, współpracowników, śledząc osoby publiczne, wcale nie jest łatwo znaleźć na nie odpowiedź.

W dzisiejszym świecie na kobiety nakładana jest ogromna presja związana z kultem samorealizacji i samorozwoju. Sprawia to, że ogniskujemy całą swoją uwagę na zaliczaniu kolejnych etapów edukacji lub awansów zawodowych. Podobnie zaczynamy też traktować relacje z najbliższymi. Podchodzimy do nich, jak do kolejnych projektów, które trzeba właściwie zrealizować, po to, by je następnie odłożyć na półkę z napisem „sukces”. Ciągłe gonimy jakiś nieuchwytny wzór kobiety, która kolokwialnie mówiąc „wszystko ogarnie”, niezależnie od tego, ile weźmie sobie na głowę. Ewentualnie, drugą skrajnością, jest zanegowanie tych przymiotów, które tradycyjnie

opisuje się jako kobiece. To z kolei skutkuje mniej lub bardziej widocznym, wewnętrznym buntem przeciwko swojej najgłębszej tożsamości.

Spójrzmy, że niezależnie od tego, za jakimi prądami myślowymi podąża współczesna kobieta, to bezpośrednio lub pośrednio i tak się o coś troszczy. Niektóre kobiety wybierają rodzinę, inne karierę, jeszcze inne zwierzęta lub jakieś przedsięwzięcie prospołeczne lub charytatywne. Są też takie, które postawią Boga na pierwszym miejscu. Tę sumienność i skrupulatność w codziennym pielęgnowaniu swojego wybranego zajęcia można jednak zaobserwować u wielu kobiet. Potrzeba opieki, pewnego zorganizowania komuś lub czemuś przestrzeni, jest silniejsza od większości z nas.

Co się jednak stanie, gdy bardziej wnikliwie spojrzymy na kobiecą tożsamość? Sprawdźmy zatem, kim jest kobieta w zamyśle Boga.

„Biblia określa to słowem EZER KENEGDO. Kenegdo, czyli pomocnik, podpora, wsparcie, w stosunku do kogoś. Ezer to wewnętrzna siła, wybawienie, pomoc. W Starym Testamencie zostało to wyrażenie użyte tylko dwadzieścia razy. Dziewiętnaście razy, by przywołać Boga jako ostatnią i jedyną deskę ratunku w rozpaczliwym położeniu. Raz, by tak określić kobietę. Można więc wyjaśnienie tych słów ująć w taki sposób, że EZER KENEGDO = WIERNY TOWARZYSZ. Ezer to ktoś, kto jest

po twojej stronie. [...] Nikt inny, tylko Bóg i kobieta, to EZER KENEGDO. Odpowiednia pomoc, wierny towarzysz, ktoś kto jest po mojej stronie. Zawsze – nawet w trudnościach [...] – kobieta, jako Ezer, jest znakiem Boga – Tego, który jest sprzymierzeńcem, który wspiera i daje siłę. Mamy świadczyć przez towarzyszenie, że Bóg JEST BLISKO, że prowadzi, wspiera, umacnia, że się troszczy i jest wierny.”¹

„Towarzyszka” to słowo dzisiaj jakby zapominane. Oznacza kobietę obecną przy innej osobie, w różnych sytuacjach. Znajdziemy też informację, że etymologicznie „towarzysz” oznaczał kogoś, kto dzieli tę samą własność lub dobro z kimś innym. Patrząc tylko przez pryzmat tego jednego słowa możemy zauważyć, że towarzyszenie, jako czynność może, czy wręcz powinno się odnosić do różnych osób. Kobieta jest zatem towarzyszką w pierwszej kolejności Boga. Może też towarzyszyć mężczyźnie, dziecku lub innej kobiecie, niezależnie od tego jak bliska łączy ich relacja. Co za tym idzie, kobieta dzieli się z innymi swoimi talentami, czyli tym, co sama otrzymała od Boga. Robi to jednak nie jako wydający polecenia manager, ale właśnie jako ktoś, kto stoi obok i delikatnie wspiera, nakierowując na właściwe tory. Jako ta, która trzyma się wystarczająco blisko, by móc rozświecić mroki sytuacji swoją obecnością.

Spróbujmy zatem zmierzyć się z konsekwencjami tego wielkiego Bożego planu, przyznającego kobiecie

niesamowitą wręcz odpowiedzialność – świadczenia o Nim i stania na straży tego, by świat stale miał z Nim kontakt.

W księdze Przysłów przeczytamy: „*Najmędrsza z niewiast dom sobie buduje, własnoręcznie go niszczy głupota*” (Prz. 14,1). Spójrzmy na ten dom szeroko, mając na myśli społeczeństwo, miejsce pracy, parafię lub rodzinę. Przecież to postawa kobiet, ich zachowania, pragnienia serca i cele są motywem bardzo wielu decyzji, podejmowanych nie tylko przez mężczyzn. To kobieta ma tę zdolność, by przeczytać sytuację między wierszami, tym samym może odpowiednio wcześniej zareagować. Tu właśnie potrzebna jest mądrość, tak aby ta reakcja nie była pochopna. W takich chwilach może się ujawnić kobieca siła wynikająca z umiejętności „towarzyszenia”. To przecież właśnie kobieta jest motorem działania, szczególnie dla tych, którzy są jej bliscy.

Nie zapominajmy też, że w Bożym planie „[...] *kobieta jest wezwana do tego, aby swoją osobą, obecnością podtrzymywać życie i o nie się troszczyć*”². I znowu życie możemy rozumieć szeroko, nie tylko jako wychowanie dzieci, ale jako budowanie społeczności dojrzałej i odpowiedzialnej. Jako troskę o kształtowanie odpowiednich postaw i zachowań w życiu rodzinnym, zawodowym i publicznym. To wszystko należy do zadań bardzo głęboko wpisanych w tożsamość kobiety.

Z kolei bł. kard. Stefan Wyszyński zadanie kobiet (szczególnie polskich) przedstawił następująco: „*straż życia, wiary, obyczajów; straż trzeźwej i ofiarnej rodziny; straż miłości i ducha pokoju w Narodzie. Jeśli to wykonacie, to będzie nowy początek cudów w polskiej Kanie w nowym tysiącleciu*”³. Bez znającej swoją wartość i swoje powołanie – kobiety towarzyszącej – świat umiera w czeluściach braku miłości i opiekuńczego ciepła Boga.

Spójrzmy na wielką odpowiedzialność, która ciąży na powołaniu wyznaczonym każdej kobiecie. Jest to rola towarzyszki, cichej i mądrej przewodniczki - tej, która widzi i wie. Właśnie dzięki temu kobieta może delikatnie prowadzić, nie w sposób rozkazujący, ale w sposób motywujący do samodzielnego rozwoju. To kobieca czułość, siła i determinacja mogą przyjsć z pomocą tonącej w grzechach ludzkości. Każda z nas musi jednak sama dostrzec to, jak patrzy na nas Bóg. Koniecznym jest najpierw uświadomić sobie jak bardzo On nas kocha, po to by później, właśnie w ten sam sposób, spróbować ukochać swoich najbliższych. Tak jak Bóg daje swoim dzieciom najlepsze dary, tak i kobieta jest wezwana do tego, by dawać to co najlepsze swoim bliskim.

Źródła:

- [1] M. Plucner (2020). Najlepsza towarzyszka – Ezer Kenegdo, POMOC Wydawnictwo Misjonarzy Krwi Chrystusa, Częstochowa, s. 59-60.
- [2] s. J. Pudełko (2011). Powołanie kobiety według Syracyclesa, Verbum Vitae 19: 89-105, s. 104.
- [3] kard. S. Wyszyński (2020). O godności kobiety, SUMUS, Zielonka, s. 272.

A hand holds a metal sieve, sifting a fine stream of white flour onto a round, rustic loaf of bread. The bread is covered in a dusting of flour and sits on a wooden surface. The background is dark, making the flour and the bread stand out.

Przepis na świętość

AGNIESZKA WARDAK

Jeżeli ktoś zapytałby mnie, który tekst w najprostszy sposób wyjaśnia ideę powszechnego powołania do świętości, odpowiedziałabym bez wahania, że piosenka „Święty uśmiechnięty” zespołu Arka Noego. W refrenie jest wymieniane, kto może być święty - duży i mały, gruby i chudy. Ale, co najważniejsze, „taki ja i taki ty może świętym być”. I to jest właśnie sedno powszechnego powołania do świętości - każdy z nas może być świętym. Słowa ostatniej zwrotki, które brzmią „Gdzie można dzisiaj świętych zobaczyć? Są między nami w szkole i w pracy” dodają jeszcze jeden ważny element - (przyszli) święci są wśród nas. To zwykli ludzie różnych zawodów i ze wszystkich ścieżek życia. Bo nie ma jednego przepisu na bycie świętym.

Idea obecna w Biblii

O powszechnym powołaniu do świętości przypomniał nam Sobór Watykański II konstytucją *Lumen Gentium* wydaną w listopadzie 1964 roku. Jest w niej napisane między innymi, że w Kościele wszyscy są powołani do świętości, mimo tego, że nie wszyscy idą taką samą drogą oraz że jest wiele rodzajów życia i obowiązków z nimi związanych, ale świętość jest tylko jedna. W powszechnym powołaniu do świętości chodzi więc o to, że każdy z nas nie tylko może, ale i powinien dążyć do świętości bez względu na pochodzenie, wiek, wykształcenie czy drogę życiową.

Jednak o tym, że wszyscy jesteśmy powołani do świętości jest mowa od samego początku Kościoła. W Ewangelii św. Mateusza Jezus powiedział: „Bądźcie więc wy doskonali, jak doskonały jest Ojciec wasz niebieski” (Mt 5, 48). W tym fragmencie nie chodzi oczywiście o to, żeby być doskonałymi w znaczeniu niepopelniania błędów, tylko o doskonałość miłości do Boga i nieustanne podnoszenie się po upadku. Z kolei w pierwszym liście do Tesaloniczan święty Paweł pisze: „Albowiem wolą Bożą jest wasze uświęcenie” (1 Tes 4, 3), a w liście do Efezjan: „W Nim bowiem wybrał nas przed założeniem świata, abyśmy byli święci i nieskalani przed Jego obliczem” (Ef 1, 4). Tak więc w samym Piśmie Świętym kilkakrotnie

pojawia się ten sam przekaz: Bóg chce, abyśmy byli święci. Mamy być tacy jak On, a ponieważ On jest doskonały i święty i my mamy takimi być.

Niestety pomimo tego, że tyle razy jest powtarzane w Biblii to, że wszyscy powinniśmy być święci, bardzo dużo osób nie rozumie, że chodzi o *wszystkich* wszystkich. Dla zaskakująco wielu ludzi świętość jest czymś poza zasięgiem “zwykłego” człowieka; czymś, co mogą zdobyć tylko wybitne jednostki. Święci to dla nich ci, którzy są Doktorami Kościoła i założycielami zakonów. To ci, którzy zginęli w męczeński sposób, dokonywali niezwykłych poświęceń i mieli objawienia lub stygmaty. Co za tym idzie, dla tych osób świętość wydaje się być nieosiągalna, bo nie mają one powołania do kapłaństwa czy do zakonu, nie mają zbyt dużej wiedzy teologicznej i raczej nie będą miały okazji oddać swojego życia za drugą osobę albo za wiarę. Jednak kiedy w Kościele mówimy „święci”, to zwykle nie chodzi nam tylko o tych wymienianych w Litanii do Wszystkich Świętych.

Kiedy podczas wyznania wiary mówimy, że wierzymy w “świętych obcowanie”, nie mamy na myśli tylko tych świętych, którzy zostali kanonizowani. A 1 listopada, w Uroczystość Wszystkich Świętych, skupiamy się na mszach na cmentarzach i odwiedzinach grobów naszych bliskich zmarłych, a nie na relikwiach

i pielgrzymkach do sanktuariów. W Kościele Katolickim świętymi są wszystkie dusze, które po śmierci trafiły do nieba. I tak, są święci, którzy są “znani”, którzy zostali oficjalnie kanonizowani i mają swój kult, ale (najprawdopodobniej, ponieważ nie jest nam znana wola Boga) jest to bardzo niewielka część wszystkich dusz znajdujących się w niebie.

Dlatego kiedy jest mowa o powszechnym powołaniu do świętości, to nie chodzi o to, że wszyscy powinniśmy dążyć do tego, żeby kiedyś być kanonizowanym. Nie powinno nam zależeć na rozgłosie, sławie, na tym, żeby znał nas cały świat, a wokół naszej osoby powstawał kult. Powszechne powołanie do świętości oznacza, że każdy z nas ma dążyć do tego, by po śmierci znaleźć się w niebie. I jest to nie tyle nakaz, co nasze przeznaczenie. Wszyscy jesteśmy powołani, by być świętymi, by dojść do nieba.

Nie jest to nieosiągalny cel. Bóg nigdy nie daje nam zadań ponad nasze siły. Nie powołuje nas do czegoś, co przekracza nasze możliwości. Jeżeli więc każdy człowiek jest powołany do świętości, to znaczy, że każdy człowiek jest w stanie tę świętość osiągnąć. I nie musi wprowadzać drastycznych zmian w swoim życiu, aby to zrobić. Nie musi wstąpić do zakonu klauzurowego ani wyjechać na misje. Nie musi spędzać całego dnia na modlitwie ani rozdać na

jałmużnę całą majątność swoją. Wystarczy, że się na to zdecyduje. Wystarczy, że podejmie postanowienie: „tak, chcę być święty”. Bo bycie świętym jest dostępne dla każdego, nie ważne gdzie mieszka, czym się zajmuje albo jaka była jego przeszłość. Nie ma jednej drogi do świętości.

Oprócz tego, że każdy ma powołanie do świętości, każdy ma również powołanie zawodowe oraz powołanie do małżeństwa, rodziny lub do celibatu. Te powołania nie wykluczają siebie nawzajem. Każde z nich może prowadzić do nieba. I aby tam dotrzeć, nie trzeba wcale robić nadzwyczajnych rzeczy. Nie trzeba napisać książki, po przeczytaniu której nawrócą się tysiące ludzi. Nie trzeba założyć nowej wspólnoty, która przybliży tłumy ludzi do Boga. Nie trzeba jechać do krajów rozwijających się, żeby budować kościoły i nawracać całe wioski. Wystarczy iść drogą wyznaczoną przez Boga i dzień po dniu starać się jak najlepiej wykonywać powierzone nam zadania i obowiązki oraz wykorzystywać dawane nam okazje do czynienia dobra.

Ofiarować!

Więc jak możemy zacząć? Co zrobić, jeżeli w tej chwili stwierdzimy: „od teraz chcę iść drogą świętości”? Jak już wspomniałam, nie musimy w tym celu wywracać

naszego życia do góry nogami. Możemy zacząć powoli, krok po kroku, od niewielkich rzeczy.

Od niewielkich rzeczy, takich jak na przykład staranność. Czasami nie doceniamy tego, jak wiele może dać dokładnie wykonana praca, w której wszystko dopięte jest na ostatni guzik. Kiedy przykładamy uwagę do detali i pilnujemy, żeby to, co robimy, było najwyższej jakości, dajemy innym - którzy zauważają nasz wysiłek - dobre świadectwo nie tylko o sobie, ale, co ważniejsze, o katolicyzmie. Jeżeli inne osoby w naszej pracy wiedzą, że jesteśmy katolikami, bo na przykład modlimy się przed posiłkiem, i zauważają też, że w naszych raportach nie ma literówek, nasze prezentacje są estetyczne, a nasza praca jest zawsze dobrej jakości, to wyrabiają sobie opinię, że katolicy są dobrymi pracownikami. Dbalność o detale jest ważna też wtedy, kiedy nikt nie zauważy naszej dodatkowej pracy. Czy ktoś zobaczy, że pościeliliśmy nasze łóżko z bardzo dużą dokładnością, pilnując, żeby kołdra i poduszki były równo ułożone? Czy ktoś zda sobie sprawę z tego, że prowadzimy swoje prywatne notatki w sposób uporządkowany i estetyczny? Tak, ktoś tak. A raczej Ktoś. „Ojciec twój, który widzi w ukryciu” (Mt 6, 6). Bóg będzie wiedział, czy dbasz o szczegóły. Ale czy byłoby grzechem gdybyśmy o nie nie dbali? Grzechem nie. Ma to jednak znaczenie, jeżeli chcemy ofiarowywać naszą pracę Bogu.

To jest bowiem bardzo ważnym aspektem dążenia do świętości - uświęcanie naszej pracy. Każdy zawód, nawet ten najbardziej pogardzany przez ludzi, może nas doprowadzić do świętości, jeżeli będziemy go wykonywać najlepiej jak umiemy i pracę naszą ofiarowywać Bogu. Nie jest to skomplikowane. Wystarczy przed rozpoczęciem pracy albo już w jej trakcie pomyśleć: "Boże, ofiarowuję Tobie moją dzisiejszą pracę". Można dodać w jakiej intencji chcemy ją ofiarować. I potem po prostu starać się pracować jak najlepiej - porządnie, efektywnie, starannie. A kiedy spadnie nam poziom motywacji albo po prostu nie będzie się nam już chciało wkładać tyle wysiłku w naszą pracę, trzeba przypomnieć sobie, że ofiarowujemy ją Bogu, więc musi być ona jak najwyższej jakości, zwłaszcza jeżeli ofiara ta jest w jakiejś konkretnej intencji. Tutaj dobrym pomysłem jest na przykład położenie krzyżyka albo świętego obrazka koło naszego miejsca pracy, tak, żebyśmy pamiętali o tym, Komu ofiarowaliśmy nasz dzisiejszy wysiłek. W ten sposób uświęcamy naszą pracę. Dlatego, że nie wykonujemy jej, ponieważ musimy, po to żeby zarobić pieniądze albo nawet dlatego że naszą pracę lubimy, tylko dlatego że przypisujemy jej wyższy cel. Jest ona ofiarą dla Boga składaną w ważnych dla nas intencjach.

Nasza praca zawodowa nie jest jedyną pracą, którą możemy ofiarować Bogu. Także wolontariat - czy to

organizowany oficjalnie przez jakąś fundację lub stowarzyszenie, czy to wychodzący z oddolnej inicjatywy - może być czasem, który uświęcamy. Jest on bardzo cenny, bo nie tylko wykonujemy go nieodpłatnie, więc nie mamy tu żadnej motywacji finansowej, ale również nasza praca w sposób bardzo konkretny pomaga osobom potrzebującym. Możemy „podwoić” moc naszego wysiłku wkładanego w wolontariat, ofiarowując to, co robimy, w intencji osób, którym pomagamy. W ten sposób oprócz pomocy materialnej otrzymają one również pomoc duchową. Ważne jednak, żeby nie wpaść w nastawienie: „nieważne, jak wykonam swoją robotę; niech się cieszą, że w ogóle pomagam”. Włóż w tę pracę całe swoje serce - pomimo tego (a może właśnie dlatego), że nie musisz jej wykonywać.

Jest jeszcze jeden rodzaj pracy, o którym czasami zapominamy (albo nawet nie traktujemy go jak pracy), chociaż wykonujemy go prawie codziennie - praca w domu. Obowiązki domowe każdego z nas wyglądają nieco inaczej, ale łączy je jedno - nie ma odgórnego przymusu wykonywania ich; robimy je tylko i wyłącznie dla siebie i dla osób, z którymi mieszkamy. Czasami zwyczajnie nie chce nam się ich robić, bo wykonujemy je zwykle w naszym „czasie wolnym”, kiedy moglibyśmy odpocząć i zająć się ciekawszymi rzeczami. Z tego powodu często pojawia się pokusa,

żeby zrobić je byle jak, bo, jeżeli nie spodziewamy się gości, to tylko domownicy zobaczą, że podłoga jest niedokładnie odkurzona, a na blacie zostało kilka okruszków. Jednak wysiłek włożony w to, żeby naszym bliskim dobrze się mieszało, w tworzenie ciepłego ogniska domowego, w żmudną, rutynową pracę, jest bardzo wiele wart. Dlatego dobrze jest ofiarować Bogu nasze codzienne obowiązki domowe - za domowników, gnębiące nas problemy czy najważniejszą w danej chwili dla nas intencję.

Naszym darem dla Boga może być też wszystko, co nas kosztuje. Kiedy mamy jakieś zmartwienie, kiedy coś nas boli, kiedy się czymś stresujemy - wszystko to możemy ofiarować Bogu. Dzięki temu nie tylko nadajemy naszemu cierpieniu nadprzyrodzony wymiar, ale również czujemy, że ma ono sens.

Zawsze chciałem zostać apostołem

Odsetek katolików, którym dane będzie kiedykolwiek wyjechać na misje do dalekich krajów i tam nawracać ludzi, którzy nigdy nie słyszeli o Bogu, jest bardzo niewielki. Każdy z nas może jednak pełnić swoją misję apostolską w inny sposób - świadcząc o Bogu wśród swojej rodziny, bliskich i dalszych znajomych oraz osób, które mijamy na ulicy. Czasami ci inni ludzie wiedzą, że jesteśmy katolikami, czasami domyślają

się, bo na przykład mamy na drzwiach napisane 'C+M+B' albo nosimy medalik, a czasami mogą nie mieć o tym pojęcia. Ważne jest, żeby mieć świadomość, że nasze czyny i zachowanie mogą mieć wpływ na to, jak inni postrzegają nie tylko nas, ale i Kościół, oraz że mogą przyczynić się do tego, czy ktoś oddali się od Boga, czy się do Niego przybliży.

Jak już wspomniałam, porządne wykonanie pracy wszelkiego rodzaju jest bardzo dobrym świadectwem i pomaga ono uświęcać nasze życie i przyciągać innych do Boga. Ale istnieje jeszcze tak wiele innych elementów, które są ważne w naszej drodze do świętości. Na przykład relacje z innymi ludźmi. Z niektórymi dogadujemy się bardzo dobrze, z innymi kiepsko. Niestety nie jest tak, że możemy sobie wybrać, że chcemy rozmawiać tylko z osobami, z którymi się dogadujemy. To jak traktujemy osoby, z którymi ciężko nam złapać dobry kontakt, może być świadectwem tego, jaką jesteśmy osobą.

Ciężko stwierdzić, kogo potrafimy potraktować gorzej: osoby bliskie czy nam nieznajome. Z jednej strony czasami łatwiej jest nam "wyżyć się" na bliskich, bo zakładamy, że łagodniej nas potraktują i nie obrażą się na nas, kiedy wylejemy na nich swoje frustracje. Zdarza się też, że jesteśmy już tak przyzwyczajeni do kłótni, denerwowania się, zniecierpliwionego

wzdychania itd., że nawet nie pomyślimy, że moglibyśmy lepiej odnosić się do najbliższych nam osób. Czasami różnica pokoleniowa, choroby, inne poglądy mogą sprawić, że trudno nam traktować kogoś poważnie; trudno jest nam nie tracić cierpliwości, ale możemy to ofiarować Bogu, prosząc Go też o pomoc w utrzymaniu jak najlepszych relacji z tą drugą osobą.

Z drugiej strony, ludzi nam nieznajomych może być nam łatwiej źle potraktować, bo zakładamy, że raczej się już z nimi nie zobaczymy. Poza tym nie boimy się, że zepsujemy sobie relacje, bo ich z tą osobą nie mamy. Łatwo jest być miłym dla kogoś, kto był dla nas miły jako pierwszy. Ale kiedy ktoś obcy ma do nas pretensje? Odezwie się nieprzyjemnie? Albo nawet jego stosunek do nas będzie neutralny - czy potrafilibyśmy się uśmiechnąć jako pierwsi? To jak przebiegną takie codzienne interakcje nieznających się osób, może mieć zaskakująco duży wpływ i to nie tylko na obie strony, ale też na obserwujących. Kiedyś jechałam ze znajomą autobusem i jakiś nieznajomy odezwał się do niej z dużą dozą rozdrażnienia, a ona odpowiedziała w tak miły sposób i bez żadnej złości, że... no właśnie, że do tej pory o tym myślę. To były dla mnie takie małe rekolekcje. Warto się zastanowić nad tym, jak traktujemy obce nam osoby. Czy nieznajomi ludzie po rozmowie z nami będą napelnieni nadzieją

czy smutkiem? Czy świadkowie tego zdarzenia staną się lepszymi ludźmi, zobaczywszy je? Czy przybliżyliśmy tych obcych do Boga? Czy staraliśmy się budować Królestwo Niebieskie na ziemi?

Droga do świętości nie jest prosta. Wymaga od nas dużo wysiłku, żeby nadawać wszystkiemu, co robimy, nadprzyrodzony wymiar. Wymaga wytrwałości, aby umieć podnosić się po upadkach. I wymaga pokory, żeby móc zrozumieć, że sami do nieba nie dojdziemy. Potrzebujemy pomocy od Boga. Bez tego nawet najgorliwsze nasze starania będą na nic. "Daremne jest wasze wstawanie przed świtem i przesiadywanie do późna w nocy. Chleb spożywacie zapracowany ciężko, a Pan i we śnie darzy swych umiłowanych." (Ps 127, 2).

A person is seen from behind, standing on a rocky mountain peak. Their arms are raised high in the air, reaching towards a bright, golden sunset sky filled with soft, wispy clouds. The person is wearing a light-colored jacket and dark trousers. The overall mood is one of triumph, freedom, and contemplation.

Obowiązek wyboru powołania

PIOTR ZIEMECKI

Nieodłącznym elementem życia duchowego każdego człowieka jest odpowiedź na pytanie, jakie jest nasze powołanie. Ma to oczywiście również swój wymiar pozareligijny, gdyż realizacja powołania zwykle ma też pewien zewnętrzny, społeczny wyraz. Wydawać by się mogło więc, że każdy z nas, bez względu na poziom życia religijnego, musi stanąć kiedyś przed wyzwaniem wsłuchania się w tzw. głos powołania. Kwestia tegoo, do czego będziemy dążyć, kim w życiu będziemy oraz jakie czekają nas na tej drodze szanse i zagrożenia, dotyczy każdego z nas. A jednak w świecie zdominowanym przez relatywizm, materializm, konsumpcjonizm i egocentryzm, nie każdy chce w ogóle podejmować się odpowiedzi na pytanie o własne powołanie. Żyjąc z dnia na dzień lub ignorując własny potencjał, stajemy się coraz częściej społeczeństwem pełnym odrzuconych powołań, od których uciekliśmy. Tymczasem sensowny wybór ścieżki naszego ziemskiego życia jest jednym z podstawowych obowiązków chrześcijanina.

Na samym początku wypada krótko wyjaśnić kwestię samego „powołania” i tego, co przez nie możemy rozumieć. W najprostszym ujęciu będzie to pewna ogólna lub konkretna ścieżka, którą wybieramy idąc przez życie w doczesności. Może to być również rozumiane jako pewien głos – wezwanie do pójścia w kierunku, który przygotował dla nas Pan Bóg. Osobiście, preferuję również podejście do powołania, które prezentuje w swoich naukach i publikacjach ks. dr Marek Dziewiecki. Wyłaniają się z nich swoiste trzy stopnie powołania człowieka. Pierwszym jest powołanie do przyjęcia daru człowieczeństwa, wyrażając wdzięczność Stwórcy; drugim jest powołanie do świętości, czyli do bycia najpiękniejszą i najlepszą wersją siebie; z kolei trzecim jest konkretne powołanie, w którym realizujemy bycie człowiekiem i w którym mamy osiągnąć świętość – np. małżeństwo, kapłaństwo itp.

Widzimy zatem, że na powołanie można spojrzeć zarówno bardzo ogólnie i od podstaw, jak i można upatrywać w nim konkretnej i nierzadko ściśle społecznie określonej drogi życia.

Prawdziwym wyzwaniem współczesności jest jednak nie samo rozumienie, czym jest powołanie, ale odpowiedź na nie i odważna jego realizacja. Zdaje się bowiem, że nie tyle mamy dziś problem rozumienia konkretnej ścieżki powołania, co jej

wyboru. Żyjemy w czasach, w których znacznie wygodniej jest odłożyć w czasie decyzję o wyborze konkretnej ścieżki życiowej. Pozornie (społecznie) nie rodzi to bowiem znaczących, negatywnych konsekwencji. Te pojawiają się bowiem dopiero w dłuższej perspektywie.

Lęk i odwaga

Brak odpowiedzi na własne powołanie zwykle może wynikać z lęku przed podjęciem decyzji, które wpłyną na resztę naszego życia. Wielu z nas brakuje niestety odwagi wyboru życiowej ścieżki, do której wzywa nas Pan Bóg. Szczególnie osoby młode (a biorąc pod uwagę zmiany społeczne i długość życia, możemy tutaj mówić o osobach nawet trzydziestoparoletnich) odkładają decyzję o małżeństwie lub kapłaństwie tkwiąc latami w próżni niepewności. Część osób boi się nawet określić jednoznacznie, że chce być tzw. singlem i realizować dary i umiejętności, które otrzymali od Pana Boga, w sposób inny niż małżeństwo albo kapłaństwo lub życie konsekrowane. Każda decyzja o realizacji któregoś z powołań wymaga odwagi i konsekwencji. Tego z kolei nie ułatwia współczesny kształt społeczeństwa i model rozwoju gospodarczego, w którym żyjemy, a który oparty jest

na zaspokajaniu przyziemnych przyjemności i skupieniu na zewnętrznym aspekcie rozwoju osoby. Wszystko to tylko wzmacnia lęk przed wyborem powołania, które może pozbawić nas dotychczasowego, wygodnego stylu życia.

Na konieczność odważnego wsłuchiwania się w głos Boży zwracali uwagę chociażby kolejni z papieży w ostatnich dziesięcioleciach. Słynne „Nie lękajcie się!” św. Jana Pawła II, czy też jego „List do młodych” dotyczą między innymi właśnie aspektu odważnej odpowiedzi i podjęcia życiowego powołania. O tej sprawie, w jednej z pierwszych homilii swojego pontyfikatu mówił również papież Leon XIV:

„Odwagi! Bez lęku! Jezus wielokrotnie mówi w Ewangelii: „Nie lękajcie się.” Trzeba mieć odwagę, aby dawać świadectwo – słowem, a przede wszystkim życiem: oddając życie, służąc, czasem z wielkimi ofiarami, by naprawdę żyć tą misją
[...]

Jakże ważne jest słuchanie! Jezus mówi: „Moje owce słuchają mego głosu.” I myślę, że to bardzo ważne, abyśmy wszyscy coraz bardziej uczyli się słuchać – by wejść w dialog. Przede wszystkim z Panem: zawsze słuchać Słowa Bożego”

papież Leon XIV, homilia wygłoszona podczas Mszy św.
w Grotach Watykańskich, 11 maja 2025 r.

Jeśli zamkniemy się na głos Boży, to nie podejmiemy się odważnego realizowania naszego powołania. Jeśli nie będziemy gotowi na poniesienie pewnej ofiary – choćby z naszego wygodnego stylu życia – to nie podejmiemy się realizacji powołania, które proponuje nam Pan Bóg. Warto też zaznaczyć, że Pan Bóg przemawia do nas również poprzez nasze talenty, zdolności, ale i słabości, czy też okoliczności, w których się znaleźliśmy. Są ludzie zdolni do małżeństwa, a są i tacy, którzy nie mogą ważnie udzielić sobie tego sakramentu. Są osoby, które będą niezłomnymi kapłanami, a są i tacy, którzy powinni jak najszybciej zostać usunięci z seminarium, zanim jeszcze wejdą do stanu duchownego. Odważny wybór powołania to przede wszystkim szczere spojrzenie na swoje zdolności i słabości.

Warto również zdać sobie sprawę z tego, że odważna odpowiedź na głos swojego powołania, może oznaczać bycie w kontrze do tego, co doczesne i światowe. Już św. Paweł w Liście do Rzymian pisał:

„A zatem proszę was, bracia, przez miłosierdzie Boże, abyście dali ciała swoje na ofiarę żywą, świętą, Bogu przyjemną, jako wyraz waszej rozumnej służby Bożej.

Nie bierzcie więc wzoru z tego świata, lecz przemieniajcie się przez odnawianie umysłu, abyście umieli rozpoznać, jaka jest wola Boża: co jest dobre, co Bogu przyjemne i co doskonałe.”

Zatem kroczenie po właściwych ścieżkach naszego życia i dążenie do najlepszych celów, może nieść za sobą pewną ofiarę i poświęcenie. To z kolei również generuje pewien lęk i nierzadko ucieczkę przed swoim powołaniem.

Perspektywa życia wiecznego

Wybór sposobu życia i celów, do których dążymy tu na ziemi powinien zawsze znajdować znaczące odniesienie do życia wiecznego. Z perspektywy wieczności ma niebagatelne znaczenie to, gdzie lokujemy nasze wysiłki i gdzie upatrujemy celu naszych dążeń. Sam Pan Jezus mówi nam w Ewangelii:

„Bo gdzie jest skarb wasz, tam będzie i serce wasze.”

Łk 12, 34

Oczywiście nie chodzi tutaj o popadanie w nadmierną skrupulatność, jednak to, do czego tu na ziemi dążymy, co jest naszym marzeniem i celem, musi być przynajmniej na ogólnym poziomie badane pod kątem zgodności z celem ostatecznym, jakim jest życie w wiecznej szczęśliwości w niebie. Chęć założenia rodziny i realizacja tego powołania jest pięknym celem i zbożnym osiągnięciem życiowym. Równocześnie jednak na drodze tego powołania możemy popełnić

wiele błędów, pozornie chcąc to powołanie wypełniać jak najlepiej. Chociażby pragnienie zapewnienia dobrostanu rodzinie może np. powodować brak obecności ojca rodziny w domu, poprzez popadnięcie w pracoholizm. Gorliwa realizacja drogi kapłańskiej lub życia konsekrowanego, jeśli tylko nie wejdzie na właściwe tory, może z kolei prowadzić do różnorodnych patologii religijności, które mogliśmy obserwować w ostatnich latach, przyglądając się chociażby suspendowanym (lub wprost wydalonym z kapłaństwa) księżom. Tak bardzo skupili się na swojej religijności, że zaczęli być ślepi na człowieka i głos przełożonych (głos Kościoła).

Widzimy zatem pewne błędne koło, w którym tkwi wielu młodych ludzi współcześnie. Lęk przed naszymi słabościami, które nie pozwolą nam być najlepszym mężem, żoną, ojcem, matką, kapłanem, siostrą zakonną, paraliżuje jeszcze bardziej przed decyzją o wyborze którejś z tych ścieżek życiowych. Tymczasem widząc perspektywę życia wiecznego i zdając sobie sprawę z tego, że tu na ziemi jesteśmy tylko pielgrzymami – i to po grzechu pierwotnym – możemy odważniej podejść do swojego powołania.

Nikt nie oczekuje (a przynajmniej nie powinien), że będziemy doskonali i nie popełnimy w życiu żadnych błędów. Należy jednak wymagać od siebie

samego i innych w naszym otoczeniu, że zdecydują się podjąć wyzwanie realizacji swojego powołania, do którego Pan Bóg udzielił im wszelkich potrzebnych darów i umiejętności. Nie tkwimy w próżni. Dajmy sobie i innym szansę podjęcia odważnej decyzji.

A young child stands on a grassy hill, looking up at a colorful kite flying high in a clear blue sky. The child is wearing a grey t-shirt and striped shorts. The kite is a diamond shape with red, yellow, and black patterns. The background is a vast, open landscape under a bright blue sky.

Papież był dzieckiem, to i dziecko może zostać papieżem

MIŁOSZ ŻEMŁA

Czy można zapomnieć, że papież był kiedyś niemowlęciem, uczył się mówić, chodzić, czytać i pisać? Myślę, że można, a nawet jestem pewien, że wielu z nas rzadko o tym pamięta. Jak wyobrazić sobie, że ten dostojny człowiek, pełen wiary, o którym mówi cały świat, kiedyś był taki jak my? Niełatwo. A potrzeba tej świadomości, by po nim przyszli kolejni.

W czwartkowe południe 3 lipca papież Leon XIV spotkał się grupą dzieci i młodzieży z okazji corocznej akcji „Lato Dzieci w Watykanie”. Widok papieża otoczonego gromadą radosnych, ciekawych wszystkiego dzieci od razu przypomniiał mi kultowe już nagranie z Janem Pawłem II uczestniczącym w specjalnym wydaniu programu „Ziarno”, gdzie odpowiada na różne pytania dzieci. „A czy papież lubi żuć gumę Turbo?” - brzmiało pamiętne pytanie kilkuletniej dziewczynki. Naturalność i otwartość dziecka nigdy nie przestaje zaskakiwać, ale pytania do Leona XIV poruszały już nieco bardziej istotne kwestie.

Podczas spotkania z Leonem XIV jako pierwsza mikrofon otrzymała Giulia, która zapytała Ojca Świętego, czy jako mały chłopiec uczęszczał na Mszę świętą. Papież odpowiedział twierdząco i dodał, że na Eucharystię chodził w każdą niedzielę, razem ze swoimi rodzicami. Wspomnił także, że od szóstego roku życia był ministrantem. Pomyślałem wtedy: ja też - nasze początki były podobne, ale on został papieżem, a ja piszę o nim teksty. Co prawda wiekowo dzieli nas ponad czterdzieści lat, ale papieżem już raczej nie zostanę.

Droga Leona XIV na tron Piotrowy rozpoczęła się już w rodzinnym domu na przedmieściach Chicago, gdzie - jak wspomina jego brat - mały Bob bawił się w księdza, a za ołtarz służyła mu deska do prasowania. Już wówczas obecny papież miał znać wiele modlitw - zarówno po angielsku, jak i po łacinie. Niemal wszyscy w jego otoczeniu byli pewni: Robert zostanie księdzem. Niektórzy mówili nawet, że papieżem - tak brzmiały słowa sąsiadki rodziny Prevostów, które teraz zyskały miano proroctwa.

Jednak papieżem nie zostaje się z dnia na dzień. Człowieczeństwo, charakter i wiara każdego z dotychczasowych papieży kształtowało się przy nas. I uwaga: kształtuje się także dzisiaj - nie wiemy przecież, czy to właśnie nie spośród naszych dzieci, wnuków, rodzeństwa, Bóg powoła swojego wikariusza na ziemi. Niemożliwe? Jeszcze trzy miesiące temu eksperci wypowiadali się jasno: papież Amerykanin to praktycznie niemożliwe. W 1978 roku świat nie mógł spodziewać się wyboru kardynała zza żelaznej kurtyny. W obu przypadkach niemożliwe stało się możliwe. Zdaje się więc, że kiedy człowiek mówi „niemożliwe”, właśnie wtedy Duch Święty śmieje się najgłośniej.

„Służenie do Mszy bardzo mi się podobało, bo już od dziecka uczono mnie, że Jezus jest zawsze blisko, że najlepszym przyjacielem jest zawsze On; i że Msza to sposób, aby spotkać tego przyjaciela, być z Jezusem” – opowiadał dzieciom papież Leon XIV. 7 września w Watykanie odbędzie się kanonizacja błogosławionych Carlo Acutisa i Pier Georgia Frassatiego - dwójki młodych chłopaków, którzy stali się przykładem dla tysięcy chrześcijan na całym świecie. Słowa papieża nasuwają na myśl to, co o Eucharystii mówił ten pierwszy, nazywając ją „autostradą do nieba”. Żaden z nich nie był ogłoszony świętym za życia. Byli zwykłymi dziećmi i nastolatkami, synami, wnukami, braćmi i kolegami. Wyróżniało ich z pewnością wiele cech, ale nie byli wolni od ludzkich słabości. A jednak to w tej normalności osiągnęli swoją niezwykłość i świętość. Jeżeli zatem wśród nas są ludzie tacy jak Acutis czy Frassati, to dlaczego spośród nas nie miałyby wyjść przyszły papież?

To piękna wizja móc kiedyś powiedzieć: znałem Ojca Świętego, kiedy był młody; graliśmy razem w piłkę; chodziliśmy do tej samej szkoły; byłem jego - sąsiadem, nauczycielem, katechetą. Szansa na taką

kolej losu jest prawdopodobnie mniejsza niż wygrana miliona na loterii, ale pokuszę się o hipotetyczne rozważanie - co odpowiedziałbym na pytanie „jaki miałeś wpływ na to, kim jest nowy papież?”. Wówczas przysłoby mi zrobić prosty rachunek sumienia - jakim byłem: rodzicem, bratem, przyjacielem, sąsiadem, nauczycielem czy kapłanem. A może swoim słowem lub czynem wyciągnąłem go z kryzysu, który pozwolił mu dzisiaj znaleźć się tam, gdzie jest i być tym, kim jest?

Nie bez powodu papież Leon wspomniał, że do kościoła prowadzili go rodzice. Gdyby nie ich zaangażowanie może świat nigdy nie usłyszałby nazwiska Prevost. Duch Święty ma pomysł dla każdego z nas, ale i na nas samych spoczywa odpowiedzialność za przyszłość świata. Jacy jesteśmy my, taki będzie również Kościół i człowiek, który stanie na jego czele. Piotr każdych czasów jest i będzie odbiciem środowiska, z którego wyszedł i które go ukształtowało.

Czy Jezus naprawdę uczy nas nienawidzić?

Zrozumieć Łk 14, 26.

ADAM BUDZIŃSKI



Nie trzeba być biegłym znawcą języka angielskiego, by rozpoznać jedną z najbardziej zapadających w pamięć fraz, która nierzadko pada w chwilach silnych emocji, gdy brak innych słów: *I hate you!* – „Nienawidzę cię!”. Wydaje się, że swą popularność zawdzięcza ona w dużej mierze filmowemu Anakinowi Skywalkerowi, tragicznemu bohaterowi sagi *Gwiezdne Wojny*. Zestawmy tę wypowiedź z inną sceną – zgoła odmienną w duchu – pochodzącą z kart *Quo vadis* Henryka Sienkiewicza. Ligia, zapytana przez Akte, dlaczego nie pozwala sobie na nienawiść wobec Marka Winicjusza, odpowiada prosto, lecz stanowczo: „nie wolno mi go nienawidzić, bo jestem chrześcijanką”. Zderzają się tu dwie postawy – jedna przepełniona gniewem, druga zakorzeniona w Ewangelii. Którą z nich powinniśmy przyjąć jako uczniowie Chrystusa? Odpowiedź, jakiej udziela Ligia, zdaje się być jednoznaczna: chrześcijanin nie ma prawa do nienawiści. A jednak... Słowa samego Jezusa zdają się niepokojąco podważać tę oczywistość: *«Jeśli kto przychodzi do Mnie, a nie ma w nienawiści swego ojca i matki, żony i dzieci, braci i siostr, nadto i siebie samego, nie może być moim uczniem.* Czyżby Mistrz z Nazaretu rzeczywiście domagał się od swych uczniów nienawiści i to wobec tych, których kochamy najbardziej? Jeśli wierzymy, że Jego słowa są objawieniem – prawdą pochodzącą od samego Boga – nie możemy ich pominąć ani złagodzić. Musimy raczej zapytać: co znaczą w kontekście całego Jego nauczania? Jak rozumieć ten radykalny zwrot? Czy chodzi tu

o uczucie niechęci, odrzucenia, czy raczej o wewnętrzne przewartościowanie miłości – podporządkowanie wszystkich więzi i relacji jednej, absolutnej więzi z Bogiem?

Czytając ów werset, stajemy wobec konstrukcji warunkowej, charakterystycznego „jeśli-to”, znanego zarówno z logiki, jak i ze stylu nauczania rabinicznego. Chrystus mówi: *Jeśli ktoś przychodzi do Mnie i nie nienawidzi* (gr. μισεῖ, *misein*). Mamy tu wyraźnie zarysowany warunek, którego treść skupia się wokół czasownika „nienawidzić”. Jest on opatrzony szeregiem dopełnień: ojciec, matka, żona, dzieci, bracia, siostry i wieńczony sformułowaniem *a nadto i siebie samego*. Ta lista, ułożona w paralelnej konstrukcji składniowej, prowadzi nas od relacji zewnętrznych ku najbardziej wewnętrznej, ku relacji z samym sobą. W tej gradacji wyczuwa się wzrost napięcia, które osiąga szczyt w słowach: *i siebie samego*, zdanie tym samym nabiera charakteru emfatycznego. Wynik warunku podany jest bez cienia złagodzenia: *nie może być moim uczniem*. Stwierdzenie to ma charakter absolutny i niepodlegający negocjacji. Odsłania się przed nami wybór: są dwaj „Panowie”, którym można służyć: z jednej strony Jezus, z drugiej rodzina i własne „ja”, pojmowane jako centrum pragnień i więzi. Kluczem do zrozumienia tej radykalnej wypowiedzi mogą być słowa Jezusa zapisane u św. Mateusza: *Nikt nie może dwom panom służyć. Bo albo jednego będzie nienawidził, a drugiego będzie miłował; albo z jednym będzie trzymał, a drugim wzgardzi. Nie możecie*

służyć Bogu i Mamonie (Łk 6,24). W obu miejscach mamy do czynienia z analogiczną strukturą duchową, z niemożnością dzielenia serca między dwa bieguny: Boga i to, co ludzkie, choćby najbardziej bliskie. Nienawiść w tym kontekście nie oznacza uczucia niechęci, lecz akt radykalnego wyboru, oderwania, dystansu wobec wszystkiego, co mogłoby konkurować z absolutnym pierwszeństwem Boga. W podobnym duchu brzmi inne zdanie z tej samej Ewangelii: *Kto kocha ojca lub matkę bardziej niż Mnie, nie jest Mnie godzien. I kto kocha syna lub córkę bardziej niż Mnie, nie jest Mnie godzien* (Mt 10,37). Tu pojawia się słowo „bardziej”, które łagodzi wyrazistość „nienawiści”, ale w gruncie rzeczy wyraża tę samą prawdę: miłość do Boga nie znosi konkurencji. I jeszcze jedno echo, tym razem ze Starego Przymierza. W Pieśni Mojżesza o kapłanach z pokolenia Lewiego czytamy: *O ojcu swym on mówi i o matce: «Ja ich nie widziałem», nie zna już swoich braci, nie chce rozpoznać swych dzieci. Tak słowa Twego strzegli, przymierze Twoje zachowali* (Pwt 33,9).

Wczytując się w słowa Jezusa, dostrzegamy zaskakującą tezę: nie tylko inni, ojciec, matka, współmałżonek, dzieci, ale i ja sam mam zostać objęty tym dziwnym przykazaniem nienawiści. Dlaczego mamy „nienawidzić samych siebie”? Czyż Ewangelia nie głosi szacunku dla życia, miłości do siebie samego jako stworzenia Bożego? Odpowiedź przychodzi z ust św. Jana: *Ten, kto kocha swoje życie, traci je, a kto nienawidzi swego życia na tym świecie, zachowa je na życie wieczne* (J 12,25). Nie chodzi tu

o odrzucenie istnienia, lecz o właściwą hierarchię wartości. Życie, które skupia się na sobie, kurczy się i przemija. Życie oddane zyskuje wieczność. Nienawiść, o której mówi Jezus, jest wyrazem dystansu wobec życia przeżywanego według miary świata: z jego lękiem przed cierpieniem, obsesją kontroli, dążeniem do samowystarczalności. Ten sam duch bije z wypowiedzi św. Pawła, utrwalonej przez św. Łukasza: *Lecz ja zgola nie cenię sobie życia, bylebym tylko dokończył biegu i posługiwania, które otrzymałem od Pana Jezusa: [bylebym] dał świadectwo o Ewangelii łaski Bożej* (Dz 20,24). Życie tak cenne, tak bronione zostaje tutaj oddane bez zastrzeżeń, byle tylko wypełniło się powołanie. Nie chodzi o lekkomyślność ani o pogardę, lecz o wolność: o zdolność oderwania się od siebie, by służyć Temu, który daje życie prawdziwe. Wreszcie jako pieczęć tej prawdy, słowa Apokalipsy: *A oni zwyciężyli dzięki krwi Baranka i dzięki słowu swojego świadectwa i nie umiłowali dusz swych - aż do śmierci* (Ap 12,11). Zwycięstwo dokonuje się nie przez siłę, lecz przez świadectwo; nie przez zachowanie siebie, lecz przez dar z siebie. Tych, którzy nie umiłowali swojego życia bardziej niż Baranka, Pismo nazywa zwycięzcami. Oto paradoks Ewangelii: tracąc życie, zyskujemy je naprawdę.

Zatrzymajmy się nad samym terminem „nienawiść”. W wersecie, który rozważamy, użyte zostało greckie słowo *miseo* (μισέω). Współczesne rozumienie tego wyrażenia często ogranicza się do wrogości, agresji, uczucia nacechowanego gniewem i przemocą. Jednak sens

biblijny tego słowa nie musi pokrywać się z potocznym znaczeniem. Nie chodzi tu o ślełą nienawiść prowadzącą do krzywdy, lecz raczej o wybór, o dystans, o radykalne odrzucenie tego, co sprzeczne z Bożym porządkiem. Zupełnie innego słowa używa św. Paweł, gdy w Liście do Galatów wymienia uczynki ciała: uprawianie bałwochwalstwa, czary, nienawiść (gr. *ἐχθραὶ*), spór, zawiść, wzburzenie, niewłaściwa pogoń za zaszczytami, niezgoda, rozłamy (5,20). Tu „nienawiść” oznacza coś odrażającego, wrogiego, destrukcyjnego, uczucie zrodzone z egoizmu i skierowane przeciw drugiemu człowiekowi. Tymczasem, gdy Pismo Święte mówi, że „Bóg nienawidzi”, nie odnosi się to do człowieka jako osoby, lecz do grzechu, który go niszczy. W tym sensie nienawiść Boga nie jest przeciwieństwem miłości, lecz jej owocem: to święta odraza wobec zła, która wypływa z miłości do prawdy i dobra. Dobrze ukazuje to prorok Jeremiasz w rozdziale 44.: *Mimo że posyłałem do was nieustannie wszystkich moich sług, proroków, by mówili: "Nie czyńcie przecież tych wstrętnych rzeczy, których nienawidzę!"* (w. 4). A zatem, nienawiść w Biblii może oznaczać radykalne odrzucenie, wybór, niechęć do uczestnictwa w tym, co oddziela od Boga. W sensie duchowym, to przeciwieństwo przywiązania. Dlatego w Starym i Nowym Testamencie stale powraca ostrzeżenie przed tą nienawiścią, która rodzi się z gniewu, mściwości i pragnienia zemsty, a więc tej, która niszczy relacje i prowadzi do krzywdy (por. Lb 35,20; Ps 109,5; Prz 10,12; Tt 3,3; 1 J 3,15). Tylko jedna forma nienawiści jest dopuszczalna: *Wy, którzy miłujecie Pana, miejcie w nienawiści zło!* (Ps 97,10), a także: *Czyż nie mam*

nienawidzić tych, co nienawidzą Ciebie, Panie, i nie brzydzić się tymi, co przeciw Tobie powstają? (Ps 139,21-22). Święty Jan w Apokalipsie pisze pochwalnie o wspólnocie chrześcijan, która zachowała czystość wiary: *Ale masz tę [zaletę], że nienawidzisz czynów nikolaitów* [sekte gnostycka, która głosiła, że można łączyć chrześcijaństwo ze swobodą obyczajów – AB], *których to czynów i Ja nienawidzę* (Ap 2,6). Wreszcie, bardzo wymowny obraz nienawiści wobec Boga odnajdujemy w Dekalogu: *Nie będziesz oddawał im pokłonu i nie będziesz im służył, ponieważ Ja Pan, twój Bóg, jestem Bogiem zazdrosnym, który karze występki ojców na synach do trzeciego i czwartego pokolenia względem tych, którzy Mnie nienawidzą* (Wj 20,5; por także Ps 139,21; Rz 8,7). Ten, kto trwa uporczywie w grzechu, kto sprzeciwia się Bożej miłości „nienawidzi Boga”. To nie Bóg odrzuca człowieka, lecz człowiek wybiera drogę sprzeczną z Bogiem. Nienawiść nie jest zatem wyłącznie uczuciem, jest postawą serca, która objawia się w decyzji: „komu służę i kogo wybieram”.

Istnieje jeszcze inna, równie ważna warstwa znaczeniowa pojęcia „nienawiść” w Biblii. Niekiedy bowiem nie oznacza ona rzeczywistej wrogości, ale... relatywność miłości. To znaczy: „nienawidzić” może znaczyć „kochać mniej”, nie obdarzyć pierwszeństwem, nie wybrać. Zobaczmy przykład z proroctwa Malachiasza: *Czyż Ezaw nie był bratem Jakuba? - wyrocznia Pana - a Ja [jednak] umiłowałem Jakuba. Ezawa zaś miałem w nienawiści i oddałem góry jego na spustoszenie, a dobytek jego szakalom pustyni.* (Ml 1,2-3). Nie chodzi tu o emocjonalną

wrogość wobec Ezawa, lecz o akt wyboru. Bóg postanowił błogosławić Jakuba, a nie jego brata. „Nienawiść” w tym kontekście oznacza raczej pozbawienie przywileju, nieudzielenie błogosławieństwa niż aktywną niechęć. Podobne znaczenie pojawia się w Księdze Powtórzonego Prawa: *Jeśli jaki mąż będzie miał dwie żony, jedną kochaną, a drugą niekochaną, i one urodzą mu synów - kochana i niekochana - a pierworodnym będzie syn niekochanej* (Pwt 21,15). W innych przekładach spotykamy tu słowa „kochana” i „znienawidzona”. Nie należy jednak rozumieć tego w sensie emocjonalnego odrzucenia, lecz jako różnicę w stopniu uczucia, co dobrze ilustruje realia patriarchalnego społeczeństwa starotestamentowego. W tym kontekście „nienawiść” jest sposobem wyrażenia, że ktoś nie zajmuje miejsca uprzywilejowanego, że został przesunięty na drugi plan. Takie rozumienie „nienawiści”, jako wyraz względnego podporządkowania, jako język biblijnej hiperboli, jest kluczem do zrozumienia słów Jezusa.

Polski zwrot „mieć w nienawiści”, który pojawia się w naszych tłumaczeniach Biblii, jest próbą uchwycenia znaczeniowego napięcia obecnego w oryginalnym greckim *misein*. To kompromis językowy, z jednej strony zachowuje dosłowność greckiego brzmienia, z drugiej zaś, dzięki zastosowaniu formy „mieć w...”, łagodzi jego ostre, emocjonalnie nacechowane wydźwięki. Ten archaizujący, niemal uroczysty sposób wyrażenia, choć nieco odległy od współczesnej polszczyzny, pozwala uniknąć gwałtownego zderzenia z przykazaniem miłości,

stanowiącym przecież serce Ewangelii. Przez swoją formę wprowadza dystans semantyczny, który nie niweluje radykalizmu wypowiedzi Jezusa, ale nadaje mu głębię i właściwy kontekst. W tym sensie „mieć w nienawiści” nie oznacza emocjonalnej niechęci, lecz duchową wolność. Wolność od absolutyzowania czegokolwiek, co mogłoby zająć w sercu miejsce Boga. To akt wewnętrznego porządkowania relacji, nie ich zerwania, ale podporządkowania najwyższemu dobru. Nienawidzić to znaczy: nie uczynić absolutem ani ojca, ani matki, ani samego siebie. To znaczy: nie oddać serca nikomu tak, jak należy je oddać tylko Temu, który jest źródłem życia.

Skoro wiemy, że Jezus nie pozwala nienawidzić kogokolwiek, werset ten należy odczytać nie dosłownie, lecz jako przenośnię, jako obrazowe wezwanie do przyjęcia określonej postawy życiowej. Chrystus nie wzywa do uczucia wrogości wobec bliskich, ale do gotowości oderwania się od wszystkiego, co mogłoby oddzielać człowieka od Niego. To nie emocja, lecz decyzja. Nie gniew, lecz wybór. W tym świetle słowa Jezusa oznaczają: jeśli ktoś kocha ojca, matkę, żonę, dzieci, braci, siostry – a nawet samego siebie – *bardziej niż Mnie*, nie jest godzien bycia Moim uczniem. Uczniostwo kosztuje. Jest wycenione nie teorią, lecz konkretem: relacjami, które trzeba oddać, więzami, które trzeba poddać próbie, a nieraz nawet – poświęcić. Wybór Jezusa nie może być jedną z wielu opcji. On musi być pierwszy. Zawsze. Nawet sam Jezus nie uciekał przed radykalizmem. Jego miłość była bezkompromisowa, a wymagania, które stawiał, nie

przewidywały ulg. Skoro więc On sam – pełen szacunku i czułości wobec matki – nie wahał się powiedzieć: *Któż jest moją matką i [którzy są] moimi braćmi?* (Mk 3,33), po czym wskazał na tych, którzy pełnią wolę Bożą, to czy uczeń miałby być potraktowany inaczej?

Uczeń to nie tylko ten, kto jest obecny, ale ten, kto się uczy. Nie wystarczy należeć do wspólnoty, by być uczniem. Sama przynależność, pozbawiona zaangażowania, pozostaje bierna – oparta na trwaniu, nie na wzrastaniu. Uczeń Chrystusa to ten, który przyjmuje Jego słowo do wnętrza, żyje Nim, myśli Jego logiką, kieruje się Jego nauczaniem. Cóż bowiem znaczy głośno deklarować swoją obecność we wspólnocie Kościoła, jeśli życie rozmija się z Ewangelią? Bycie we wspólnocie nie jest jedynie statusem, jest początkiem odpowiedzi, pierwszym krokiem w stronę pełni, jaką stanowi uczestnictwo w uczcie niebieskiej. Można by sądzić, że cel chrześcijańskiego życia znajduje się wyłącznie „po tamtej stronie”. A jednak sam Chrystus powiedział, że Królestwo już się zaczęło. Odtąd nasza wieczność trwa, choć nie w pełni, to realnie. Jest już i jeszcze nie. Już, bo jesteśmy zaproszeni, obdarowani, wezwani po imieniu. Jeszcze nie, bo wciąż jesteśmy w drodze. Skoro więc wieczność się rozpoczęła, zostaliśmy powołani do życia na miarę obywateli nieba. To znaczy świadomie, w prawdzie, z poczuciem celu. Wiedząc, gdzie jest nasza ojczyzna, pielgrzymujemy do niej, podejmując codzienność jak ci, którzy wiedzą, kim są: dziedzice.

Wezwanie Chrystusa jest jednoznaczne i bezwarunkowe. W takim brzmieniu nie ma precedensu. Ani prorok, ani apostoł nie domagał się od słuchacza absolutnego, osobistego oddania. Gdyby nie to, kim był Jezus, takie żądanie należałoby uznać za bluźniercze. Oddanie, o którym mówi, przypomina bowiem postawę czci, aż po granicę uwielbienia. Takie posłuszeństwo, jeśli skierowane ku komukolwiek innemu, byłoby jawnym bałwochwalstwem. A jednak Jezus nie cofa swoich słów. Domaga się wszystkiego. W tym żądaniu nie ma przemocy, nie ma przymusu, nie ma strachu. Różni się tym zasadniczo od wielkich imperiów, które przez wieki budowano na sile, groźbie i lęku przed utratą. Królestwo Boże powstaje na fundamencie miłości i tylko dlatego ta radykalność nie jest tyranią, lecz wolnością. Jezus nie był kolejnym ziemskim królem ani buntownikiem przeciw porządkowi. Nie dążył do władzy, nie powoływał armii. Jego żądanie całkowitego oddania nie wynikało z ambicji, lecz z tożsamości. Mógł żądać wszystkiego – ponieważ był wszystkim. Dlatego różnica między miłością do Niego a miłością do kogokolwiek innego musi być tak wielka, jakby chodziło o miłość i nienawiść. Czy oznacza to, że kto wybiera Jezusa, musi zapomnieć o rodzicach, odrzucić rodzinę, przestać dostrzegać innych? Pozornie tak. Tak też się czasem dzieje, gdy ktoś mylnie rozumie chrześcijaństwo jako drogę odcięcia się od świata. Takie rozumienie jest jednak wypaczeniem. Jezus nie wzywa do odrzucenia, ale do uporządkowania. Nie mówi: „wyrzuć”, lecz: „nadać miejsce”. Ojciec i matka nie zostają wykluczeni, lecz przestają być absolutem. Chrystus staje

się centrum, ale nie po to, by resztę unieważnić, lecz by ją uświęcić. Zdarza się, że ktoś, patrząc na Jezusa, odrzuca wszystko inne – nawet to, co dobre – tylko dlatego, że „nie jest Jezusem”. Tymczasem prawdziwy uczeń, który kocha Mistrza, widzi w Nim najwyższy punkt horyzontu. Punkt świetlisty, który ogrzewa całe życie, nadaje mu kierunek i sens. Jak słońce, które choć nie jest każdą rzeczą, daje światło wszystkim. Kto żyje w tym świetle, nabiera sił. Staje się spokojniejszy, jaśniejszy, bardziej ludzki.

Napełnieni obecnością Jezusa, żyjemy pełniej także tu, na ziemi. Nie można bowiem sądzić, że skoro celem naszego życia jest niebo, to doczesność traci znaczenie. Gdyby tak było, należałoby zamknąć się w domu, nic nie czynić, nie spotykać się z nikim. A przecież nie tak postępowali ci, których Kościół uznaje za świętych. Ich życie nie było ucieczką od świata, lecz pełnym w nim zanurzeniem uporządkowanym, przemienionym, ukierunkowanym ku Bogu. To życie, które mamy, nie jest przeszkodą, ale darem, poletkiem, które zostało nam powierzone. Mamy je uprawiać, kształtować siebie i innych, kochać, służyć, być obecni. To tutaj urzeczywistnia się to, co na razie pozostaje jeszcze w zasięgu nadziei. Uczniostwo nie dzieje się w próżni, lecz tam, gdzie zostaliśmy posłani. Nie tylko modlitwą oddajemy Bogu cześć. Modlitwa, choć pierwsza, nie jest jedyną formą życia w relacji z Bogiem. Inne formy tej relacji wskazuje sam Jezus: błogosławieństwa, czyny miłosierdzia, dobroć wobec drugiego. Tam, gdzie człowiek przebacza, karmi, towarzyszy, tam Bóg przyjmuje chwałę. Uczeń Jezusa nie

ucieka od świata. Przeciwnie: jest w nim, ale nie należy do niego. Jego słowa, czyny i postawa mają kierować ku Temu, który jest pierwszy. A skoro jest pierwszy, to miłość do Niego porządkuje wszystkie inne miłości. Nie niszczy ich, lecz ogarnia. W tym sensie „nienawiść” oznacza miłość niższego rzędu, podporządkowaną. Taką, która nie rości sobie prawa do panowania. Taką, która pozwala być wiernym Bogu ponad wszystko. Jak w przypadku Lei, która była „znienawidzona”, czyli mniej miłowana (por. Rdz 29,31), czy lewitów, którzy jak mówi Księga Powtórzonego Prawa „nie znali swych braci”, ponieważ wybrali wierność Bogu ponad więzy krwi (por. Pwt 33,9).

W rozważanym przez nas fragmencie Ewangelii, jak i w paralelnym u św. Mateusza (por. Mt 10,34–36), Chrystus zapowiada, że pójście za Nim może prowadzić do napięć, także wewnątrz rodziny. Nie dlatego, że sam pragnie niezgody, lecz dlatego, że prawda Ewangelii bywa trudna. Staje naprzeciw przyzwyczajęń, oczekiwań i tradycji. Nie unieważnia ich, ale wymaga rozeznania: co w nich służy Bogu, a co przeszkadza. W wersji Mateuszowej Jezus mówi o mieczu, który niesie ze sobą. To obraz decyzji i rozdziału. Nie chodzi tu o przemoc, ale o wybór. Czy pozostać przy dotychczasowych więzach, opiniach i lojalnościach, czy też opowiedzieć się za Chrystusem, nawet jeśli oznacza to sprzeciw ze strony najbliższych? W czasach Jezusa wyznanie, że jest On Mesjaszem, mogło oznaczać odrzucenie przez rodzinę, wykluczenie ze wspólnoty, utratę miejsca w społeczeństwie. Uczniowie musieli wybierać. A ich

wybór bywał postrzegany tak, jakby „nienawidzili”, w sensie biblijnym: jakby odwracali się od rodziny, siebie samych, dawnego życia. Ale nie nienawiść była tu treścią wyboru, lecz priorytet: wierność Jezusowi i troska o zbawienie. Ten fragment wyznacza ramy, w jakich chrześcijaństwo osadza więzi rodzinne. Nie neguje ich wartości, ale też ich nie absolutyzuje. Rodzina nie może zajmować miejsca Boga. Więzy krwi są cenne, ale nie są najwyższe. Najwyższe jest to, co prowadzi do życia wiecznego. I tylko to zasługuje na pierwsze miejsce.

W świecie rzymskim ojciec rodziny (łac. *pater familias*) posiadał niemal nieograniczoną władzę nad domem. *Patria potestas* oznaczała prawo decydowania o losie dzieci, także o ich życiu i śmierci. Ewangelia ukazuje zupełnie inny porządek: każdy człowiek odpowiada przed Bogiem indywidualnie. Nikt – nawet rodzic – nie ma absolutnej władzy nad drugim człowiekiem. Chrześcijaństwo uczy szacunku i posłuszeństwa wobec rodziców, w duchu czwartego przykazania. Nie chodzi jednak o ślepą uległość. Szacunek chrześcijański nie może niszczyć wolności ani sumienia. Rodzice nie są bogami. Człowiek należy do Boga – i tylko Bogu winien jest bezwarunkowe posłuszeństwo. W niektórych kulturach – choćby konfucjańskiej – cześć dla rodziców i przodków przybierała formy niemal boskiego kultu. Chrześcijaństwo takiemu podejściu się sprzeciwia. Czci należy się jedynie Bogu. Szacunek dla rodziców ma swoje miejsce, ale nie jest wartością absolutną. Musi być podporządkowany miłości do Stwórcy. Chrystus

pokazuje, że dzieci mają obowiązek troszczyć się o swoich rodziców, nie tylko słuchać ich poleceń, ale towarzyszyć im w starości, wspierać w chorobie. Sam dał tego przykład, powierzając na krzyżu swoją Matkę uczniowi. A jednak, jeśli rodzice stają się przeszkodą w drodze wiary, jeśli wymagają tego, co sprzeczne z Ewangelią, chrześcijanin musi dokonać wyboru. Wierność Jezusowi staje się wtedy pierwszym i nieuniknionym obowiązkiem. Nawet jeśli oznacza to niezrozumienie, sprzeciw, a czasem rozłam w rodzinie.

Jezus pragnie być dla nas ważniejszy niż ktokolwiek inny, nawet rodzice, współmałżonek, dzieci czy rodzeństwo. Nie dlatego, że te relacje są złe, lecz dlatego, że Jego miłość je przewyższa. Ona jest większa i bardziej podstawowa niż wszystkie inne. Jest pierwsza i najgłębsza. To z niej wypływają wszystkie inne więzi, które uznajemy za święte. To On jest źródłem każdej miłości, także tej, którą otrzymujemy od rodziców. Miłość małżeńska, choć bliska, jest tylko odbiciem Jego miłości. Wiąż męża i żony, tak silna i intymna, nie sięga tak głęboko, jak Jego obecność w ludzkim sercu. Dzieci są darem i obietnicą. Ich życie niesie przyszłość. Ale Chrystus jest celem i spełnieniem tej przyszłości. On nie tylko towarzyszy, On ją wypełnia. Jego braterstwo nie zawodzi. Jest jak starszy brat – wierny, niezawodny, zawsze blisko. Nawet wtedy, gdy inni odejdą. Dlatego Jezus ma prawo być pierwszy. Nie z racji swojej pozycji, lecz z racji swojej miłości. Bo nie ma innej, która byłaby większa. Żadna miłość, choćby najczystsza, nie ogarnia

człowieka tak jak Jego miłość. A jeśli tak jest, to On właśnie zasługuje, by zająć miejsce pierwsze.

Jezus w tym fragmencie nie wzywa do nienawiści wobec ludzi. Gdyby tak było, przeczyłby całemu swojemu nauczaniu. Wzywa natomiast do radykalnego dystansu, wobec tego, co choć bliskie może przeszkadzać w pójściu za Nim. Nie chodzi tu o emocje, lecz o postawę serca. Cóż może być tak niebezpiecznego, by zasługiwało na tak poważne określenie jak „nienawiść”? Możemy przypuszczać, że Jezus wskazuje tu na konieczność odrzucenia wszystkich mitów i iluzji, które często przekazywane są w rodzinie, środowisku, społeczeństwie. Slogany, które brzmią znajomo: „Musisz walczyć o swoje, inaczej przepadniesz. Trzeba być sprytnym i ustawić się w życiu. Najważniejsze to, co powiedzą ludzie. Musisz coś znaczyć. Nie można ufać nikomu. Dobre stopnie i wygląd to klucz do szczęścia”. Wszystkie te hasła mają jedną wspólną cechę: rodzą się z lęku i egoizmu. Jeśli człowiek nie nauczy się ich „mieć w nienawiści”, to znaczy: jeśli nie uzna ich za fałszywe przewodniki, nie będzie mógł być uczniem Jezusa. Uczniostwo wymaga nowej drogi. Chrystus nie pozostawia wątpliwości: prowadzi do Ojca przez dziecięce zaufanie, gotowość do straty i pokorę, która nie szuka siebie. Święty Paweł znał tę logikę. Wyraził ją krótko, ale dobitnie: *I owszem, nawet wszystko uznaję za stratę ze względu na najwyższą wartość poznania Chrystusa Jezusa, Pana mego* (Flp 3,8). W tym jednym zdaniu zawiera się wszystko. Cały świat, z jego „musisz”, musi ustąpić jednemu: „musisz iść za Jezusem”. A iść za Nim, to pełnić wolę Ojca.

„I nawet swego życia” (gr. **ἔτι τε καὶ τὴν ψυχὴν ἑαυτοῦ**). Potrójna konstrukcja spójnika *eti te kai* nadaje omawianemu zdaniu szczególną intensywność. Można ją oddać parafrazą: „nawet i także, aż do samego życia”. Wyrażenie to nie tylko wzmacnia stopniowanie wcześniej wymienionych relacji, ojciec, matka, żona, dzieci, bracia, siostry, ale prowadzi je ku punktowi kulminacyjnemu: do życia własnego, które człowiek naturalnie ceni najbardziej. Tego rodzaju zwrot nie jest przypadkowy. Pojawia się również w Dziejach Apostolskich (por. Dz 21,28), potwierdzając, że mamy do czynienia z typowym semityzmem, przejętym do greki Nowego Testamentu w celu nadania mocnego akcentu w strukturach wyliczeniowych. Wspólny spójnik *te* wiąże wszystkie elementy listy w jedną całość. Tworzy tym samym zwartą „wiązaną rzecz do porzucenia”, dóbr, które mogą być cenne, ale jeśli wchodzi w konflikt z Chrystusem, muszą zostać złożone na ołtarzu wiary i posłuszeństwa. Nie są odrzucone same w sobie, lecz przestają być pierwsze. To, co naturalne, zostaje podporządkowane temu, co nadprzyrodzone. Taki porządek wyznacza logikę uczniostwa.

Życie ziemskie jest jednym z największych darów, jakie człowiek otrzymał od Boga. Nic więc dziwnego, że chce je chronić i zachować. Instynkt samozachowawczy nie jest słabością, jest zdecydowanie częścią ludzkiej natury. To właśnie ten instynkt Szatan wystawił na próbę, gdy w Księdze Hioba powiedział: *Skóra za skórę. Wszystko, co człowiek posiada, odda za swoje życie* (Hi 2,4). W tym

zdaniu zawarta jest intuicja, że granicą wierności może stać się moment, gdy cierpienie dotyka ciała i zagraża samemu istnieniu. A jednak Hiob nie cofnął się nawet wtedy. W obliczu choroby, bólu i odrzucenia ze strony najbliższych pozostał wierny. Powiedział: *Choćby mnie zabił Wszechmocny - ufam, i dróg moich przed Nim chcę bronić* (Hi 13,15). Hiob wiedział, że życie fizyczne nie jest wartością absolutną. Że ponad nim stoi Bóg. Jezus wzywa swoich uczniów do tej samej logiki ale jeszcze głębiej. W Ewangelii Łukasza mówi: *Jeśli kto przychodzi do Mnie, a nie ma w nienawiści swego ojca i matki, żony i dzieci, braci i siostr, a nawet własnego życia, nie może być moim uczniem* (Łk 14,26). Słowa te brzmią twardo. Nie chodzi w nich o odrzucenie życia, ale o jego właściwe miejsce w hierarchii. Chrystus musi być pierwszy. Dlaczego? Bo On nie tylko prowadzi do życia wiecznego, On *jest* życiem (por. J 14,6). Ten, kto wierzy w Chrystusa, ma w sobie życie, którego śmierć fizyczna nie może zniszczyć. Życie ciała przemija, jest kruche i poddane cierpieniu. Życie w Chrystusie jest trwałe, błogosławione i wieczne. Chrześcijanin, który ufa, wie, że życie doczesne, choć cenne, nie jest dobrem ostatecznym. A jeśli przyjdzie wybierać między wiernością Chrystusowi a zachowaniem życia, wybiera wierność.

W historii Kościoła widzimy, jak słowa Jezusa urzeczywistniły się w postawie męczenników. Wielu z nich wołało oddać życie niż zaprzeczyć się wiary. Ich śmierć nie była wyrazem pogardy dla życia, ale świadectwem, że prawdziwe życie jest w Bogu. Śmierć

stawiała się dla nich nie końcem, lecz przejściem do pełni istnienia. Jezus nie wzywa do nienawiści w sensie dosłownym. Wzywa do zmiany perspektywy. Relacja z Nim ma być tak nadrzędna, że wszystko inne, nawet więzy krwi, nawet instynkt samozachowawczy, musi ustąpić miejsca wierności Ewangelii. W tym kontekście warto raz jeszcze dostrzec siłę frazy *eti te kai*. Działa ona jak klamra zamykająca. Wskazuje, że ostatnią granicą uczniostwa jest gotowość oddania życia. To punkt, w którym wszystkie inne wartości zostają przekroczone. Nie dlatego, że są złe, ale dlatego, że nie są ostateczne. Męczeństwo nie jest celem samym w sobie. Kościół od początku uczył, że nie należy go szukać. A jednak nie wolno go unikać, jeśli jedynym sposobem ocalenia życia byłoby zaparcie się Pana. Jak pisał Tertulian: *Semen est sanguis Christianorum*¹ – „Krew męczenników jest zasiewem chrześcijan”. Męczeństwo staje się wtedy pieczęcią, potwierdzeniem, że miłość do Chrystusa jest większa niż miłość do życia. Tak rozumiał to św. Ignacy Antiocheński. W drodze na śmierć pisał do wiernych Rzymu: *Pozwólcie mi się stać pożywieniem dla dzikich zwierząt, dzięki którym dojdę do Boga. Jestem Bożą pszenicą. Zostanę starty zębami dzikich zwierząt, aby się stać czystym chlebem Chrystusa. Proście za mną Chrystusa, abym za sprawą owych zwierząt stał się żertwą ofiarną dla Boga*². To świadectwo dobrze oddaje sens słów Jezusa. Życie fizyczne jest darem. Ale jeszcze większym darem jest życie wieczne rodzące się z wierności Bogu aż do końca.

Jezus nie pozostawia wątpliwości: bycie Jego uczniem wymaga decyzji radykalnej: *Kto nie nosi swego krzyża, a idzie za Mną, ten nie może być moim uczniem* (Łk 14,27) oraz *nikt z was, kto nie wyrzeka się wszystkiego, co posiada, nie może być moim uczniem* (Łk 14,33). Te dwa warunki, wpisane w nauczanie Chrystusa i towarzyszące rozważaniom nad słowem o „nienawiści”, ukazują spójny obraz uczniostwa. Uczeń nie opiera swego życia na fałszywych zabezpieczeniach. Nie buduje na więzach krwi, na dobrach materialnych ani na osobistej wygodzie. Wszystko to może być dobre, ale nie może być fundamentem. Łukaszcza Ewangelia streszcza to z prostotą i mocą. Uczeń Jezusa to ten, kto ma odwagę odrzucić fałszywe „musisz” świata. To ten, kto niesie swój krzyż ufnie. To wreszcie ten, kto potrafi zrezygnować z tego, co przemija, aby uchwycić się Tego, który daje życie wieczne.

Przypisy:

[1] Tertulian, *Apologeticum* 50, 13; PL 1, s. 603.

[2] Ignacy Antiocheński, *List do Rzymian*, rozdz. 4, 1-2 i 6-7, za: LG, t. IV, s. 1277-1278



W tym numerze SIEJMY wykorzystano czcionki Lato, Bona Nova, Półtawski Nowy oraz Brygada 1918 — twórcom fontów serdecznie dziękujemy.

Projekt okładki: Piotr Ziemecki

Skład: Piotr Ziemecki

Wszelkie prawa do treści zamieszczonych w niniejszym e-magazynie przysługują Wydawcy oraz poszczególnym Autorom. Napisz do nas, jeśli chcesz je wykorzystać: siejmy.pl@gmail.com